Połączenie — Falcor

Od autora: Kilka różnych postaci, miejsc i historii. W zasadzie zupełnie ze sobą nie związanych, gdyby nie małe "ale" na samym końcu.

Pan Karol siedział w swoim fotelu, gapiąc się w telewizor. Był średnio szczęśliwym człowiekiem, który po dwudziestu trzech latach spędzonych z kobietą, której nie kochał, nie oczekiwał od życia więcej, niż odrobiny świętego spokoju po powrocie z pracy. Zapadał się wówczas w wysiedzianym meblu, macał przez chwilę mały, stojący obok stoliczek, w celu znalezienia pilota i bez entuzjazmu zaczynał codzienne skakanie po kanałach w poszukiwaniu czegokolwiek. Zazwyczaj okazywało się, że poszczególne kanały nie nadają nic wartego uwagi przez dłużej niż dwie, trzy minuty, tak wiec większą część oglądania **TELEWIZJI**, pochłaniało ów beznamiętne skakanie.
Tego dnia, ten przerabiany do znudzenia, odwieczny scenariusz, uległ jednak zmianie. Tak, bywały i takie dni, gdy Pan Karol dokładnie wiedział co będzie oglądał. Budził się wówczas ze swego rodzaju letargu, a jego samopoczucie wyrywane było z otępienia. Szary dzień, na który zwykle Pan Karol nie zwracał uwagi, stawał się dniem specjalnym, dniem kibica.
Oto mamy więc naszego pierwszego bohatera, obserwującego uważnie mecz Polska – Szwecja, oraz co chwila komentującego „fachowo", poczynania obu zespołów. Komentarze są wzmacniane piwem z gniecionej powoli w ręce puszki, a ich treść stanowi inspirację dla pomalowanych na biało-bezbarwnie ścian pokoju. Pan Karol siedzi sam ze sobą i chociaż jest mu z tym nie do końca najlepiej, to wydaje mu się, że z kumplami w pubie byłoby jeszcze gorzej. Oczywiście lubi ich, choć w taki nieco wypłowiały sposób. Aby ich spotkać, trzeba by jednak do nich zadzwonić. W sumie **TELEFON** nie jest daleko, tylko co potem?
- „Gdzie się umówić? U mnie? Musiałbym posprzątać. U Krzyśka żona znowu będzie krzywo patrzeć. Mietek mieszka na drugim końcu miasta. Może Jurek? Nie, jemu pewnie też nie będzie się chciało sprzątać. Więc gdzie? W osiedlowym pubie gdzie przychodzą głównie dresiarze? A może na mieście? To z kolei kawał drogi. Z 15 minut samochodem. Do tego trzeba jeszcze wcześniej przyjść, aby zająć miejsce. Eee, z pracy, przebrać się i od razu z powrotem na miasto. To nie dla mnie." – pomyślał kilka godzin temu Pan Karol, postanawiając ostatecznie zostać w domu i do nikogo nie dzwonić.
Teraz myśli sobie, że trochę szkoda tego niespotkanego spotkania, ale nie na tyle, aby spotkać się przy kolejnej takiej okazji. Kumple by się przydali, w końcu można by się stuknąć kuflami i znowu dowiedzieć niczego nowego, tylko czasu brak. Gdyby tak trzymać ich w szafie i wyjmować na mecze oraz parę innych okazji. Tak, to było by niezłe.
- ...teraz to nie widziałeś spalonego, co? Palancie jeden... – mówi bezgłośnie Pan Karol, przeżywając swój dzisiejszy, lekko ekscytujący wieczór. Nie jest do końca szczęśliwym człowiekiem, ale to dla niego jeden z tych bardziej kolorowych dni.

Nasz drugi bohater to Billy. Billy ma osiem lat i właśnie wraca ze szkoły. Jest uśmiechnięty, bo otrzymał dobrą ocenę. Gdy dotrze do domu, powie o niej swojej mamie, która na pewno bardzo się ucieszy. Zawsze gdy dostaje dobre stopnie, to mama bardzo się cieszy i czochra mu włosy na głowie, a często daje też dodatkowy deser po obiedzie. Zwykle „Vici" – jego ulubiony baton. Dobrze jest dobrze się uczyć.
Czasami koledzy dokuczają Billemu. Mówią, że jest kujonem. Nie wszyscy tak mówią, ale niektórzy. Billy nie wie, czy jest kujonem. Lubi się uczyć, lubi dostawać dobre stopnie, ale nie chciałby być kujonem. Nie czuje się nim. Na szczęście jest Jeremy i Sam. No i Chris i Arnold i Christine też, choć ona jest dziewczyną, a to nie to samo. Jeremiemu zwykle daje swoje kanapki, bo mama pakuje mu ich zawsze

trzy lub nawet cztery, a on nigdy nie ma ochoty na więcej niż jedną. Jeremy zawsze ma ochotę. Mama też jest zadowolona, że całe drugie śniadanie znika.
Dzisiaj jest specjalny dzień, bo na obiedzie będzie tata. Tata Billego jest kierowcą dużych ciężarówek. Najlepszym na świecie! Często nie ma go w domu, bo musi wozić ważne rzeczy, aby ludziom ich nie brakowało. Kilka razy zabrał Billego i mamę ze sobą w podróż i było bardzo fajnie. Teraz Billy też chce jeździć dużą ciężarówką jak dorośnie. Napisał o tym wypracowanie. Potem pani nauczycielka mówiła, że jest zdolny i powinien pójść do collegu, czy czegoś takiego, ale Billy wolałby dostarczać ważne rzeczy ludziom, tak jak tata. Tata ma wąsy i niebieską czapkę. Z tą czapką nigdy się nie rozstaje. Ma też okulary przeciwsłoneczne. Jak przyjeżdża do domu, to często przywozi jakiś prezent. Ostatnio przywiózł takie samochodziki, które można samemu składać. Billy polubił je składać i ciągle rozkręca je i skręca. Można nawet doczepić do takiego samochodziku mały silniczek, ale Billy go nie ma. Gdy teraz idzie do domu, to myśli sobie, że może tata przywiózł mu taki silniczek i będzie go mógł dzisiaj zamontować. Tak, na pewno przywiózł.
Billy widzi już swoją furtkę. Przechodzi właśnie obok domu jednego z kolegów, gdzie pies gania za wodą tryskającą ze zraszacza trawnika.
- Spot! Spot! – woła Billy, ale pies tylko na chwilę odwraca łeb, merda kilka razy ogonem i znowu zaczyna ganiać za tryskającą wodą.
Trawa jest zielona, niebo niebieskie i świeci żółte słońce. Dom ma czerwony dach, a okolica jest spokojna. Idealnie namalowany dzień.
- „Jest ładnie" – myśli szczęśliwy Billy, zachwycając się tym dniem. Tylko na nim koncentruje uwagę. Nie wybiega myślą w przyszłość. Nie zastanawia się co będzie jutro.

- „Bezsens! Zupełny totalny bezsens! I pustka. Pustka w głowie, pustka w tobie. We mnie. Nic już nie myślę, tylko ta... pustka... nicość totalna. Jak...?! Jak, jak, jak, jak jak jak... no jak to się stało? To wszystko... to wszystko takie... nie... bez sensu... po co to myślę... po co?!"
Sumio stoi na moście. Patrzy w czarną wodę. Powoli zbliża się świt.
- „Dlaczego?" – pauza. – „Dlaczego, tak...? Czy gdzieś zrobiłem coś źle? Na pewno. Czy zrobiłem aż tyle złego, by teraz... teraz już nic. Nieważne."
Sumio chodził całą noc po mieście. Myślał. To był zły spacer i złe myśli.
- „Czemu inni są lepsi? Przecież czasami robili tyle złego. Ja... ja się tak starałem... Starałem się! Słyszysz!!!"
Sumio załamuje ręce. Chowa w nich twarz. Przez chwilę szlocha. Drgawki wzdrygają jego ciałem.
- „Czemuuu..." – pauza. – „Dookoła tak pusto. Zawsze tak pusto. To boli. Tak mocno boli w środku! Jakby tam nic nie było. Co ja takiego zrobiłem!!?"
Sumio wykrzykuje myśli do samego siebie. Gdyby mógł je wykrzyczeć komuś innemu, nie było by go tu dzisiaj.
- „Nie chcę. Już nie mogę. Naprawdę nie mogę. To gorsze od wszystkiego. Po co mam być? Aby być? Nie jestem kamieniem!"
Sumio podejmuje decyzję.
- „Nieprzydatny, zbędny śmieć. Nikt nawet nie zauważy. Nikt. Nikt..."
Sumio... już nic. Już nieważne...

Noc coraz bardziej głaszcze wszystkie stworzenia, zachęcając je do snu. Nawet drzewa powoli przestają

potrząsać liśćmi, które już nie chwytają słonecznego pożywienia. Zapada coraz większa cisza, choć jest ona co chwila wypełniana pojedynczymi dźwiękami. To spadła stara, uschnięta gałąź, która akurat teraz postanowiła pożegnać się ze swym wiekowym domem. A teraz któryś z ptaków przypomniał sobie, że warto powiedzieć innym, gdzie zaczyna się jego terytorium. Spokój, odpoczynek, sen w lasach deszczowych nie jest związany z brakiem dźwięków, ale ich nieobecnością w świadomości stworzeń, które w nim żyją.

Jeżeli chwilę poszukamy, to w tej czarnej nicości dostrzeżemy iskierkę. Gdy się do niej zbliżmy, to usłyszymy pełne, spokojne głosy. Nie widać dobrze tych, którzy wypowiadają krótkie, ale dobrze dobrane, treściwe zdania. Czasami poświata bijąca od ognia, trafiając na wyjątkowe smaczne polano, powiększy się gwałtownie i ukarze na sekundę oblicza rozmówców. To wyjątkowi rozmówcy. Do rozmowy wystarcza im sama swoja obecność, a słowa padają rzadko. Wśród nich siedzi Mawazo Nyota – choć to tylko dwa z jej wielu imion.

Teraz pochłania wzrokiem tańczące ognisko, a czasami odchyla się lekko do tyłu i zatapia wzrok w gwiazdach. Szczęście jest dla niej pojęciem nieco abstrakcyjnym. Nigdy nie pytała siebie, czy jest szczęśliwa, ale przez większość swego życia czuła się spełniona. Gdy jesteś spełniony nie pytasz siebie o takie rzeczy, po prostu jesteś. Jesteś całym sobą. Mawazo jest teraz całą sobą wraz z innymi, tu, przy tym ognisku. Aura jej ducha jest momentami silniejsza od cielesności. Trwa tak z plemieniem, trwa z tymi którzy już odeszli. Czuje ich, ma pewność, że są teraz obok. Może porozmawiać z nimi tak, jak z wszystkimi innymi postaciami pojawiającymi się i znikającymi co chwila w poświacie pulsującego, żółtoczerwonego żaru. Jej umysł jest wolny.

Tak, czasami jej myśli pobiegną gdzieś do wątpliwości dotyczących Boga, ale po chwili rozbijają się one o dogmaty, którymi żyje od dawna. Dogmaty? To słowo nie ma dla niej znaczenia, ona po prostu wie.

Nie zawsze należała do wspólnoty. Kiedyś, kto by pamiętał kiedy dokładnie, plemię odwróciło się od niej. Była wtedy najbardziej samotna na świecie. Teraz czuje się pełna. Mężczyźni codziennie przynoszą upolowane zwierzę, a ona codziennie wyrywa z niego najsmaczniejsze flaki, by mogli wieczorem trwać razem, tak jak teraz. To dobre uczucie, a myśli Mawazo docierają prawie do pierwszych słów – to dobrzy ludzie – ale ich nie wypowiadają. Ona po prostu wie.

Jej duch czyni ją spokojnym. Daje jej pewność, której nigdy nie dałaby jej nauka. Ona nie zna nauki i podświadomie boi się ją poznać. To jedyna, cienka jak włos na niebie obawa, która czasami zaczyna być widoczna w świecie myśli. Kilka razy widziała innych ludzi. Byli biali, bardzo podobni do siebie i wyglądali niemal chorowicie, jak ktoś pusty w środku. Zachowywali się jak małe dzieci, tak bardzo nieporadni, niezdarni. Zawsze gdy ich widziała, zadawała sobie pytanie jak zdołali przeżyć. Przecież nie powinni. Ci których poznała byli przyjaźni i zawsze mieli mnóstwo dziwacznych przedmiotów, które do niczego nie służyły, a mimo to były dla nich bardzo cenne. Niektóre plemiona mówiły jednak, że oni kradną ziemię po to, aby ją zniszczyć. Mawazo martwi się, że kiedyś mężczyźni z jej plemienia nie będą mieli już gdzie polować.

Obawa rozpływa się i znowu widać gwiazdy. Z pośród nich wygląda dwójka, z piątki dzieci jakie urodziła. Kiedyś było jej smutno, gdy ta cząstka jej została oderwana. Dzisiaj wszystko wydaje się właściwe. Jutro mężczyźni pójdą polować. Nic poza tym czasem nie istnieje. Mawazo Nayota patrzy w gwiazdy i wie.

Po prostu, ot tak, spojrzeli na siebie na ulicy, a po chwili gnali już, trzymając się za ręce, do kawiarni. Nie, nie tej, tej drugiej, gdzie kawa nie jest tak koszmarnie droga i gdzie nie ma rzeźbionych stolików, ani strojnych kelnerek.

Siedzieli tak patrząc na siebie, wzajemnie się pochłaniając i nie mogąc się sobą nasycić. On wiedział i ona też wiedziała, że tak, że teraz, że wszystko. Poplątani w swych życiorysach, zaganiani pomiędzy dwoma odległymi od siebie ulicami, spotykają się nareszcie, a reszta świata kurczy się w ich umysłach do rozmiaru punktu, niemalże przestając istnieć.
Ona uśmiecha się i przeczesuje włosy, on chwyta ją za rękę. Nie chce jej puścić. Ona nie chce by ją puścił. Banalnie skomplikowane sprawy sprowadzają się do instynktowych odruchów, popychanych przez oba serca. Teraz wszystko jest już jasne, a pytania stają się zbędne. Od teraz wszystko będzie dobrze.
Co o nich wiadomo? Co oni o sobie wiedzą? Co my o nich wiemy? Marisa i Julio, urodzili się, a potem długo nie mogli się odnaleźć. Reszta tutaj, w tej kafejce, jest zupełnie nieistotna. Kochają się! Tak, to trzeba zapamiętać, ale to tak oczywiste, a słowa tak niepełnie oddają to co teraz czują... Trzeba na nich spojrzeć, czy też wystarczy na nich spojrzeć i... piękne, cudowne, świeże, porywcze, słońce, blask, energia, radość, pełnia, dusza, serca, szczerość, ciepło, iskry... ahhhh, to wszystko samo ciśnie się na usta. Każdy kto koło nich przejdzie, staje się lepszym człowiekiem, każde miejsce w które spojrzą zaczyna ożywać.
Ona, on, oni, a potem także ono, one. Szczęście odjechanie zupełnie, niecodzienne, choć jednocześnie przeżywane w tak wielu miejscach na raz. Tu, teraz się zaczyna, ale już wybiega w przyszłość, pędzi jak ekspres, aby dojechać ostatecznie do miejsca w którym oboje, nieco posiwiali, choć wcale nie wypaleni, siądą w kafejce i wspomną czas, gdy patrzyli w niej na siebie po raz pierwszy. Ta chwila właśnie trwa, a ta przyszła być może by mogła... ale jej nie będzie. Zakochani w sobie, przynajmniej mieli szansę potrzymać się za ręce.

Gdyby nie powaga sytuacji, to mogłaby to być bardzo zabawna historia.
Zaczynało się jak zwykle sielankowo, bo gdyby zaczynało się inaczej, to by się nie zaczęło. Tak więc powoli zmierzchało, panowała piękna pogoda i słońce powoli, lazurowo, kryło się za horyzont. Ocean był spokojny (zwłaszcza, że faktycznie był to Ocean Spokojny), a w kambuzie smażyła się jajecznica. Do portu w Hobart zostało jakieś dwa, trzy dni drogi. W pełni postawione żagle na obu masztach, łapały sobie wiatr, tak samo jak, sterczący na wytyku, wiatrak dostarczający zasilanie do akumulatorów. Ot, żyć nie umierać.
I tu, w tej sielance słowa „żyć" i „nie umierać" zaczęły nagle nabierać nieco poważniejszego sensu. Pierwszy szkwał wprowadził jacht w silny przechył, a jajecznicę katapultował na koszulkę Steva. Ten sypiąc przekleństwami zaczął ją z siebie zdzierać. Nie było to zadanie łatwe wśród lecących z kambuza: kubka, noża, widelca i talerza, przygotowanych już do nakładania posiłku. Skacząc na jednaj nodze (druga w tym czasie postanowiła się poślizgnąć), chwytając się jedną ręką czegokolwiek, co zapobiegało znalezieniu się pozycji horyzontalnej, a drugą walcząc z coraz bardziej piekącą koszulką, Steve wykazał się wręcz cyrkową zręcznością, unikając kolejno nadlatujących pocisków. Gdyby kupił sobie mniejszy talerz, to wyszedł by z tego bez szwanku. Oczywiście nie licząc poparzenia jajecznicą.
Jacht zaczął się prostować, koszulka w strzępach walała się po gretingu, a Steve sprawdzał, czy nie ma rozciętej głowy. Na szczęście miał tylko ogromnego guza. Jego klatka piersiowa przybrała tym czasem mocno czerwony kolor, ale nie to było teraz najważniejsze. Dwa szybkie skoki i nasz bohater był już w kokpicie.
W oddali dojrzał bardzo ciemne chmury. Co tam ciemne - można by pomyśleć, że ktoś produkował je w kopalni. Wiatr od nich już jednak dotarł, a jeśli teraz osiągał taką siłę, to zanosiło się na porządny sztorm. Steve ruszył zarefować żagle i w tym samym momencie wiatr potężnym podmuchem uderzył w jacht po raz drugi, wyrzucając go za burtę. Małpia zręczność odziedziczona po dalekich przodkach, pozwoliła mu złapać się za reling. Reling jęknął od przeciążenia, a Steve jęknął razem z nim. Sytuacja nie wyglądała

dobrze, chociaż jeżeli być optymistą do końca, to chłodna woda ukoiła nieco pieczenie na poparzonej i mocno owłosionej klacie Steva. Można by rzec – nie ma tego złego...
Bez sensu było jednak pozostawanie w oceanie dłużej. Steve szarpnął się w górę a reling jęknął, obniżając się w dół. Wiatr ustał, a jacht wrócił do pionu. Steve próbował wrócić na jacht, ale reling nadal jęczał. Tak, nie warto było oszczędzać na ściągaczach, które teraz nie bardzo chciały dalej trzymać stalową linkę. Trzeba było chwycić się czegoś innego. Oto i tam w oddali, cały metr od obecnej pozycji kapitana, lśnił kabestan. Lekkie przesunięcie w lewo, lekkie stęknięcie relingu. Jeszcze jedno przesunięcie, jeszcze jedno stęknięcie. Jeszcze 10 centymetrów, jeszcze moment, palce już biegają po kabestanie, który oczywiście zaczyna się obracać, utrudniając całą sprawę, ale w końcu jest – pewny chwyt, podciągnięcie, druga ręka zbliża się do knagi i nasz marynarz jest z powrotem na pokładzie.
Gdyby nie ciągle wzmagająca się siła wiatru oraz szybko zbliżające się chmury, to może nawet byłby teraz szczęśliwym człowiekiem. Na razie jest człowiekiem, który musi się spieszyć ze zrzuceniem żagli. Kieruje jacht ostro do wiatru i ustawia samoster we właściwej pozycji. Teraz szybko do masztu. Pierwszy krok z kokpitu na pólpokład... no może jednak nie tak szybko, fale podbijają dziób łodzi już z taką siłą, że Steve łatwo mógłby ponownie zacząć testować wytrzymałość relingu.
Pierwszy w dół idzie grot, chociaż słowo idzie bardziej oddawałoby sprawę, gdyby zastąpić je przez „stoi". Wiatr swoją siłą trzyma go przy maszcie, pomimo postawienia jachtu prawie dziobem w jego linii. Centymetr grota w dół i Steve sapie. Centymetr grota w dół i mięśnie dłoni są tak napięte z wysiłku, że gdyby wetknąć w nie teraz długopis, to mógłby służyć za metronom. Kilka minut później oraz nieco skóry na dłoniach mniej, Steve zabiera się do zrzucania bezana. Tutaj żagiel jest mniejszy i idzie dużo łatwiej. Całe dwa centymetry za jednym szarpnięciem. Fale coraz częściej przetaczają się przez pokład, dłonie mocno już pieką. Podobnie jak klatka piersiowa i odmiennie jak obolała głowa z mocno zaznaczonym na niej guzem. Organizm zaczął też sobie właśnie przypominać, że po tylu minutach bez okrycia wierzchniego oraz po kąpieli w zimnym oceanie, ma prawo do drgawek. No, no kto by pomyślał, że zęby Steva mogłyby stanowić poważną konkurencję dla kastanietów.
Mija jeszcze trochę czasu (akurat tyle, aby nasza ofiara zabaw Neptuna, opanowała wydzwanianie rytmów do kilku znanych melodii) i jacht płynie już bez żagli. Steve postanawia założyć grota sztormowego. Steve schodzi po niego pod pokład. Steve przy okazji zakłada na siebie suchy dres. Steve wychodzi z grotem na pokład. Steve zostaje całkowicie zmoczony przez akurat i całkiem przypadkowo, przetaczającą się fale. Steve, a dokładnie jego zdarte dłonie, nie wytrzymują naporu wody i puszczają grot sztormowy. Żagiel wypływa sobie za burtę i po chwili niknie z oczu. Steve klnie ostro, a być może można by napisać także, że długo, gdyby nie dało się ponownie słyszeć dźwięku kastanietów.
W tym momencie sztorm szaleje już na całego, atakując z każdej strony, niczym oszukany urząd podatkowy. Fale, których przed chwilą jeszcze prawie w ogóle nie było, zaczynają przeganiać się w wysokości, chociaż wiele z nich nie jest jeszcze do końca pewnych, z którego kierunku powinny dokładnie nadpływać. Tym czasem nasz nieszczęśnik schował się pod pokładem, gdzie właśnie przebiera się po raz kolejny. Dla niego to chwila oddechu, ale już kolejne partie jego ciała zaczynają budzić się do życia. A kto jest mistrzem w wykrywaniu nieregularnych fal? Oczywiście pan żołądek. I oto mamy nieopatrznie rzucone spojrzenie Steva w kierunku bulaju, prosto na rozkołysane wody i skaczący horyzont. Chwilę później Steve leży już w kokpicie z głową skierowaną za burtę. Zostawmy go tam na pięć minut. Dajmy czas jemu i jego obiadowi, który przygotowywał z taką pieczołowitością.
Po powrocie do środka przygląda się on stolikowi nawigacyjnemu – czegoś mu tutaj brakuje. Siada doń, zapala dodatkową lampkę i dokładnie lustruje wzrokiem. Po raz pierwszy ma chwilę, by się zastanowić i przeanalizować sytuację, ale możliwe że byłby dużo szczęśliwszy, gdyby nie dano mu tej możliwości. Oto bowiem dryfujący jacht przewala się z burty na burtę przy każdej kolejnej fali (i pomyśleć, że w wesołych miasteczkach ludzie płacą za podobne atrakcje), żołądek ma nadal włączony stan nudności, poparzenia pojajecznicowe pieką irytująco, domagając się schłodzenia, choć jak na ironię Steve jest nadal mo-

kry i zziębnięty. Do tego guz na głowie przypomina o sobie, dudniąc wesoło wraz z pulsem. Jeżeli dodamy do niego szczękanie zębami i okrasimy to odrobiną naigrawania się z bliźniego, to otrzymamy – człowieka orkiestrę.
Aha! Steve dostrzegł czego mu brakowało. Zgasło jedno ze światełek. Można powiedzieć, że było ono dość ważne, bo wskazywało mu drogę do domu. Teraz wyświetlacz GPS-u już nic nie wyświetlał i wyglądał jakby potrzebował usług szklarza. Obok, jak gdyby nigdy nic, wesoło turlał się kubek, który kilka godzin temu przelatywał sobie z kambuza. Oczywiście jest złośliwie cały. Niestety Steve nigdy nie był dobry w nawigacji kubkowej. Na szczęście, jako przewidujący żeglarz, posiada jeszcze ręczny GPS. Sięga teraz po niego i włącza. I włącza... i włącza... i włącza... I nic. Wiedziony doświadczeniem, postanawia sprawdzić połączenie baterii. Połączenie jest wyśmienite – baterie nie tylko przylegają do styków, ale także praktycznie się z nimi zespoliły za pomocą białej, wyciekającej z nich substancji.
- „Kiedy ja go ostatnio używałem?" – zdaje się docierać do świadomości Steva, który już planował szukać pilnika.
Potężna fala załamuje się nad jachtem uderzając z siłą lokomotywy o jego burtę. Świat Steva wywraca się do góry nogami – podłoga zamienia się miejscami z sufitem. W dół lecą ciuchy, gitara, przenośne szpergały i rupiecia, kilka gorzej zamocowanych talerzy roztrzaskuje się z hukiem, Steve spada niemalże na głowę, a na końcu dopadają go jeszcze grube, drewniane gertingi. Jacht leży do góry dnem.
Woda zaczyna się powoli wdzierać przez niedomkniętą sztorcklapę. Steve nie do końca jest w stanie dojrzeć co się dzieje, bo coś zalewa mu oczy, a w ustach czuje smak krwi. Podnosi greting i niezdarnie maca się ręką po czole. Chyba ma rozcięty łuk brwiowy. Z pewnością ogromną radość sprawiłoby mu teraz nakopanie każdemu, kto starał by się powiedzieć coś w stylu – zawsze może być gorzej - albo – we wszystkim trzeba szukać jasnych stron.
Steve stara się powoli stanąć na nogi i gdy jest już w pozycji na wpół wyprostowanej, to jacht dopada kolejna fala, która odwraca go z powrotem. Z sufitu na podłogę lecą gretnigi, a wraz z nimi szczątki talerzy, gitary, różnych szpergałów i rupieci. Kolejny lot głową w dół zalicza Steve, który desperacko stara się chwycić czegokolwiek. I nawet cokolwiek chwyta. To cokolwiek, co prawda puszcza z trzaskiem, ale przynajmniej nieco spowalnia upadek. Przez jacht przedziera się potworny zgrzyt, jakby tysiąc paznokci jednocześnie tarło po tablicy, a potem słychać głuchy huk pękającego laminatu.
Przez moment Steve nie bardzo wie co się stało i czemu trzyma w ręku cb-radio, skoro powinno być zamocowane na przeciwległej półce. Kilka sterczących kabli dużo wyjaśnia. Po dalsze wyjaśnienia wygląda na pokład. Wita go tam tryskająca prosto w twarz fala. Dookoła panuje doskonała ciemność, a powinna panować niedoskonała, rozświetlana przez wątłe światła pokładowe. Już pierwszy rzut snopu światła latarki w połączeniu z doświadczonym, kapitańskim okiem wykrywa pewną nieprawidłowość – nie zgadza się liczba masztów. Z dwóch wpisanych w kartę rejestracyjną jachtu, pozostało pięćdziesiąt procent. Gdyby teraz napatoczył się tutaj inspektor którejś ze służb morskich, to Steve miałby poważne kłopoty.
Część masztu zdaje się kończyć w kadłubie, w strefie która niespecjalnie była do tego projektowana. Szybkie zejście pod pokład, szybkie wyczucie wody po kostki, szybkie przejście na dziób. W kadłubie znajduje się nieregulaminowy otwór. Na szczęście jest ponad linią wody i zatykają go w dużej mierze szczątki masztu, ale każda rozbijającą się o jacht fala, zostawia część siebie w środku.
Co tu robić? Trzeba zatkać dziurę, ale póki sterczy w niej maszt, którego de facto i tak trzeba się pozbyć, to nie bardzo jest się jak za to zabrać. Poza tym czym ją zatkać? Szybkie poszukiwania kończą się w momencie znalezienia giętkiej tacy, oraz sporej ilości samoprzylepnej taśmy. Cóż zrobiła by ludzka cywilizacja bez tej taśmy? Taśmy która często sprawdza się przy naprawach prowizorycznych lepiej, niż najbardziej markowe części. Można mieć niemal pewność, że bez niej co chwila spadałby jakiś samolot, czy wybuchała elektrownia atomowa. Tak więc załatanie głupiej dziury, to coś wręcz niemal niegodnego zawracania taśmie głowy, gdyby tylko takową posiadała.
Najpierw jednak trzeba ściąć pozostałości po maszcie. Steve szybko zarzuca sztormiak, szelki asekuracyj-

ne, bierze siekierę i rusza zaczerpnąć ożywczego powietrza. A na zewnątrz... nic. Nie ma świateł, nie ma gwiazd. Latarka zamocowana na czole, ledwo pokazuje gdzie zrobić kolejny krok. Jacht wydaje się zawieszony w totalnej, strasznie chybotliwej pustce, w której, ot tak dla zabawy, ktoś co chwila wylewa na Steva ogromną wannę wody. Nie da się normalnie iść po pokładzie. Trzeba się niemal czołgać, by kolejne uderzenia fali nie zepchnęło w nicość.
W końcu Steve dociera do masztu. Uderza siekierą, a przez jego zdarte ściąganiem żagli, dłonie, przechodzi ogień. Kolejne uderzenie i znowu ręce w ogniu. Do tego przyłączają się fale spychające go z miejsca pracy. Trzeba się znowu podczołgać. I tak w kółko. Fala – plusk, siekierą – łup, ręce – auuu! Plusk! Łup! Auu! Plusk! Łup! Auu! Plusk! Łup! Auu!
Maszt zostaje w końcu odcięty, ale trzymają go jeszcze dwie wanty, których woda nie zdołała wyrwać. I je też trzeba odciąć.
- „Cholera! Je też!" – Steve i jego dłonie niemalże krzyczą. Najchętniej rzuciłby to wszystko w diabły. Ma dosyć! Przez moment chce dać już sobie spokój, ale potem dociera do niego, że nikt za niego tego nie zrobi, że musi to zrobić bo zginie.
Plusk! Łup! Auu! Noc i fale utrudniają precyzyjne celowanie. Pokład przy maszcie i obok mocowań want jest pocięty siekierą.
Gdy w końcu maszt niknie w głębinach, a Steve schodzi pod pokład, woda sięga już łydek. Odkłada siekierę i z ogromnym zniechęceniem bierze tacę i stara się ją zamocować. Oczywiście nie przylega ona idealnie, a wdzierająca się woda, co chwila ją odrywa. Umysł Steva nie pracuje już jednak normalnie, a przestawia się na tryb bezmyślnego i upartego powtarzania czynności. Kilkadziesiąt minut później spod oklejonej taśmą tacy, wydobywają się już tylko niewielkie strumyki.
Woda w jachcie zaczyna dochodzić do kolan. Z ogromnym powątpiewaniem Steve włącza elektryczną pompę. Powątpiewanie przechodzi w pewność – elektryka padła. Nie ma sensu i nie ma sił, aby dochodzić co i gdzie się zacięło. W całym burdelu porozwalanych, popękanych i podtopionych rzeczy, mogło zaistnieć tysiące usterek. W nastroju niemal całkowitej rezygnacji, instynkt przejmuje większą część kontroli nad poczynaniami Steva i każe mu siąść do ręcznej pompy. Ta działa, ale dłonie nie chcą już ściskać wajchy, niemal automatycznie uchylając się od bólu. Steve siada na gretnigu – teraz woda zakrywa mu nogi, a także część pasa – bierze wajchę pomiędzy ramię i przed ramię i zaczyna nią poruszać. Przy każdym przesunięciu zahacza łokciem o drewnianą szafkę. Puk, puk. Pojawia się też drugi dźwięk – kap, kap – to zrobiona przez siekierę, niewielka dziura w dachu, przepuszcza wodę. Oczywiście dokładnie w miejscu gdzie siedzi Steve.
Zmęczenie robi z niego maszynę. Już nieraz sterował jachtem nie śpiąc po trzydzieści parę godzin, ale teraz, po wyziębieniu organizmu, po skurczach żołądka, po bólu napływającym z klatki piersiowej, dłoni i głowy, jego świadomość w zasadzie się wyłącza. Gdybyście zapytali go teraz, co w zasadzie robi, odpowiedź byłaby zbliżona do: „Eee...?". Tylko automatycznie, co jakiś czas zmienia rękę, która macha wajchą, gdy łokieć zaczyna za bardzo boleć.
Ciężko powiedzieć ile minęło czasu i czy Steve faktycznie nie spał, czy też jego organizm poruszał się niemalże przez sen. Powrót świadomości nastąpił, gdy światło słoneczne zmusiło oczy do zmrużenia powiek. Jacht nie kołysał się już tak strasznie, a gretingi były w miarę suche. Łokieć cały czas wydawał ciche: puk, puk. Steve uniósł głowę. Przez bulaj ujrzał błękitne niebo. Starał się podnieść, ale nogi zmilkły mu od siedzenia. Starał się pomóc sobie rękoma, jednak w tym przypadku, łokcie zastrajkowały, domagając się wczasów lub dożywotniej renty. Zanim był w stanie postawić pierwsze kroki na stopniach zejściówki, upłynęło kilkadziesiąt minut.
Wyszedł na pokład. Bez masztu było tu teraz sporo miejsca – mógłby urządzać przyjęcia. Mniejszy, bezan maszt, nadal jakoś się trzymał. W oddali widział ląd. Kształty wyglądały znajomo.
- „To chyba Hobart."
Nie miał sił, by postawić żagle i nie oczekiwał, że silnik odpali, więc zaskoczenie jakie przeżył, gdy ten

uruchomił się przy pierwszej próbie, mogło stanowić zagrożenie dla jego serca. Popatrzył jeszcze raz na ląd. Zanim naprawdę się do niego zbliży miną co najmniej trzy godziny.
- „Heh, a jednak się udało” – przemknęła mu przez głowę myśl pełna wytchnienia.

Po co opowiedziałem Ci te wszystkie historie? Co je ze sobą łączy? Cóż, w pewien sposób łączy je osoba Galo oraz czynność, którą właśnie wykonuje. Zatrzymajmy na chwilę czas i przyjrzyjmy się temu uważniej.
Galo siedzi właśnie przed komputerem, z kursorem myszki znajdującym się na pewnym przycisku. Pracował wiele lat, aby w końcu nacisnąć ten przycisk, choć nie jest do końca pewny, co się w zasadzie wtedy stanie. Oczywiście ma kilka teorii, przeprowadził wiele obliczeń, ale tak naprawdę wszystko wyjaśni się dopiero po naciśnięciu przycisku. Nie pierwszy raz uzyskuje on, czy też jego koledzy, odpowiedź na nurtujące go pytanie, wciskając przycisk.
Być może już się domyślasz, że nasz ostatni bohater jest naukowcem. Dokładnie to europejskim naukowcem, który zajmuje się badaniami nad tak przedziwnymi rzeczami jak ciemna materia, ciemna energia, antymateria, czarne dziury i inne cuda o których ludzkość nie ma tak naprawdę zielonego pojęcia. Pytanie, czy kiedykolwiek mieliśmy pojęcie o czymkolwiek, do póki tego nie doświadczyliśmy? Czy przypadkiem nie działamy na zasadzie:
- Co to za sznurek?
- Nie wiem. Pociągnij.
Do tej pory, w podobnych sytuacjach zawsze dopisywało nam szczęście. Może nie zawsze pełne, ale było go na tyle dużo, aby pan Karol mógł siedzieć w fotelu przed telewizorem, Billy chodzić do szkoły, Sumio przeżywać swe beznadziejne życie, Mawazo spoglądać w gwiazdy, Marisa i Julio spotkać się, a Steve przetrwać swój najgorszy sztorm. Tym razem będzie jednak inaczej. Stanie się to, gdy tylko pozwolimy czasowi pomknąć dalej.
Trzeba przyznać, że Galo ma ogromnego pecha. Przez kilka miliardów lat, odkąd na Ziemi pojawiło się życie, unikała ona kolizji z asteroidami na tyle ogromnymi, aby z nadal mogło się to życie toczyć. Szczęśliwym trafem umykaliśmy wybuchom supernowych, czy też, zapewne, milionom innych, powszechnie występujących we wszechświecie, katastroficznym w szkutach zjawiskom, które mogły sprawić, że nie pisałbym tego co teraz czytasz. Do tego należy dołożyć jeszcze właśnie ów naszą własną, człowieczą działalność. I na tyle możliwych zakończeń tego małego świata, musiało paść akurat na eksperyment prowadzony przez Galo. Kto by się spodziewał, prawda? Chociaż przecież to wszechświatowa codzienność.
Nurtujące jest też pytanie, co ze wszystkimi naszymi bohaterami, którzy pomimo tego, że nigdy nawet nie poznali Galo, to nagle zaczęli być uzależnieni od jego poczynań?
Jeżeli chodzi o pana Karola to możliwe, że dalsze istnienie, czy nieistnienie świata nie zrobiłoby mu większej różnicy. Ot nie obejrzy kolejnego meczu.
Billego jest szkoda. W końcu to jeszcze dziecko i do tego dziecko tak pełne nadziei, że za chwilę spotka się z mamą i tatą, przynosząc dobre wiadomości. Nikt go już nie zdąży pogłaskać po głowie.
Sumio, to nasz drugi, wielki pechowiec. Gdyby poczekał ze skokiem sekundę dłużej, nikt nie nazwałby go samobójcą. Zginąłby w wielkiej katastrofie, co brzmi niemal jak śmierć bohatera. Głupio się czasem układa, no nie?
Mawazo? Zawsze żyła pełnią życia, chwytała każdy dzień, choć nie znała słów „carpe diem”. Nie martwiła się zbyt mocno na zapas, po prostu żyła. Teraz odejdzie tak samo – beztrosko, spełniona w swej chwili istnienia.
Marisa i Julio. Fajnie, że zdążyli się spotkać. Przecież tak wiele osób nie potrafi wykorzystać tej okazji, nawet jeżeli nigdy nie goni ich żaden kataklizm. Odejdą sobie najszczęśliwsi na świecie.

No i oczywiście Steve. Czy męczyłby się tak z tym wszystkim, czy walczyłby przedzierając się przez ten cały ból i totalne zmęczenie, gdyby mu powiedziano, że przedłuży mu to życie najwyżej o kilka godzin? To dziwne, ale myślę, że tak. Myślę, że walczyłby, bo nigdy nic nie wiadomo. Zawsze jest szansa...
Dobrze, nie możemy już dłużej wstrzymywać biegu wydarzeń. Czas znowu zaczął płynąć, a Galo klika myszką. Pyk! I już nic nie ma. W kosmosie nie słychać nawet dźwięków znikającego właśnie świata. Ot tak po prostu był, a teraz go nie ma.
W tej samej chwili zniknęło tak trzydzieści sześć światów. W niektóre uderzyła ogromna asteroida, inne spaliły supernowe, czy też padły ofiarą zjawiska kosmicznej kropli, o którym Ziemianie mogliby się dowiedzieć, gdyby pożyli jeszcze jakieś trzysta lat. Wszechświat trwa nadal. Może trwać, bo dokładnie w tym samym momencie zadziania się trzydziestu sześciu „Pyk!", na dziewięćdziesięciu pięciu innych planetach słychać po raz pierwszy – Myślę więc jestem.

Koniec

Więcej moich opowieści, bajek i innych treści możesz znaleźć na: http://bambararowo.blogspot.com/

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Falcor, dodano 02.02.2015 16:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.